

Rośnie popularność edukacji domowej w Polsce

19 maja 2023

Edukacja domowa w Polsce od kilku lat robi się coraz bardziej popularna. W roku szkolnym 2019/2020 było 12 tys. dzieci uczących się poza szkołą. Obecnie jest ich aż 31,5 tys. Skąd taki wzrost? W ostatnich latach mieliśmy do czynienia z lockdownem, który wpływał nie tylko na życie i jego jakość u dorosłych, ale również na system edukacji.



Dzieci i młodzież doświadczyły tzw. nauczania zdalnego i lekcji online. Dla jednych to było wybawienie, dla innych udręka. W przypadku mojej rodziny i naszej córki okazało się to doskonałym przyczynkiem do przejścia na edukację domową. Na tzw. nauczanie zdalne trafiliśmy, gdy nasza latorośl była w trakcie trzeciej klasy szkoły podstawowej i na szczęście ominęły ją lekcje online. Jej wychowawczyni wybrała drogę taką, by to rodzice robili z dziećmi ćwiczenia. Pani pisała rano maila, które zadania należy wykonać w ciągu dnia i po południu trzeba było przesłać zdjęcia zrobionych ćwiczeń. Dla nas było wspaniałe doświadczenie. Było ciepło, mamy domek z ogrodem poza miastem, więc mogliśmy te lekcje „robić” w

plenerze na kocu przy śpiewie ptaków i mruczeniu naszego kota. Ja wtedy prawie nie pracowałam zawodowo, jedynie trochę zdalnie, więc mogłam poświęcić córce mnóstwo czasu. Inni rodzice mogli nie być zadowoleni.

W końcu poza ich pracą zawodową musieli tłumaczyć nowe zagadnienia ich dzieciom, odrabiać z nimi lekcje. Poświęcać, tak naprawdę dużo czasu, którego wcześniej nie mieli. Co dało nam to doświadczenie? Odkryliśmy, że lekcji nie trzeba robić w budynku, dusznej sali z 30-ką uczniów, gdy na dworze świeci słońce. Okazało się, że moja córka wcale nie jest taką „nogą” z matematyki, jak przedstawiała to jej surowa wychowawczyni. Odkryłam, że choć nigdy nie chciałam być nauczycielką, to jakoś mi to wychodzi i uczę się przy swoim dziecku cierpliwości. Nie trzeba też mieć ukończonych studiów matematycznych, by jej uczyć własne dziecko. I choć ten przedmiot nie jest i nigdy nie był moją mocną stroną, to na tym poziomie sobie radzę. Zaczęłam zgłębiać temat edukacji domowej. Termin był mi znany. O tej formie mówił mi kiedyś mąż, który nie miał dobrych wspomnień ze szkołą. Ja wtedy nie chciałam się podjąć tego trudu. Miałam dwa naczelne argumenty – brak spotkań z rówieśnikami, i że sobie nie poradzę, bo nie kończyłam pedagogiki, nigdy nauczycielką być nie chciałam i w dodatku, na późniejszych etapach edukacji, każdym przedmiotem zajmuje się inna osoba. Jak ja sobie, ja my sobie poradzimy, jak córka sobie poradzi? Wątpliwości i lęków było mnóstwo.

Najpóźniej od chwili porodu

Dużym przełomem było wzięcie udziału w webinarze o edukacji domowej. Usłyszałam tam zdanie od prowadzącej, które chyba już na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Na pytanie jednego z uczestników spotkania: Kiedy najlepiej rozpocząć edukację domową ze swoim dzieckiem? Odpowiedziała: Najpóźniej od chwili porodu. Chyba spadły mi trochę klapki z oczu wtedy. Zrozumiałam, że my i nasze dziecko uczymy się przez całe życie i wcale nie jest do tego potrzebna żadna placówka. Czerpiemy

wiedzę od innych, z książek, z czasopism, z obserwacji, z internetu. Naprawdę nie tylko od pani w szkole! Wmówiono nam, żeby się czegoś nauczyć, musimy oddać do placówki nasze dzieci, by się zsocjalizowały, nauczyły czegoś. Czy poza szkołą jest to niemożliwe? Żłobki w końcu zostały stworzone, by mamy mogły iść do pracy w fabrykach. Nie powstały dlatego, że to taki świetny wynalazek dla dzieci. Poza dość oczywistą sprawą, jaką jest, że w żłobkach choruje się bardzo dużo i od najmłodszych miesięcy i lat są one narażone na mnóstwo infekcji, to do 3. roku życia, nasza latorośl potrzebuje przede wszystkim mamy. Jej bliskości, obecności, troski i pokarmu.

Pracując jako niania z roczną dziewczynką, widziałam jak bardzo obojętne były dla niej dzieci na placu zabaw. Nie wchodziła z nimi w interakcję. Ważniejsze było dla niej, by iść ze mną na rękę czy bym jej pomogła gdzieś się wspiać – dotyk i relacja jeden na jeden. Tak samo było z nauką matematyki u mojej prawie 10-letniej córki. Ona potrzebowała skupienia i kontaktu bezpośredniego z drugą osobą. Warunki w szkole nie pozwalały jej na to. Nie była w stanie nauczyć się w głośnej przy wymagającej wychowawczyni. Przez te trzy lata jako praktyka edukacji domowej, z pełną świadomością mogę napisać, że to jest jedna z najlepszych rzeczy dla mojej córki i dla naszej rodziny. Ona ma dużo wolnego czasu, może rozwijać swoje zainteresowania i pasje.

Chodząc do szkoły, nie miała na to czasu. Po wielu godzinach przychodziła zmęczona, a tu czekały na nią i na nas, rodziców, lekcje do odrobienia. Często byłam już zmęczona, wieczory nigdy nie były dla mnie dobre, jeśli chodzi o pracę umysłową. Poszukując rodziny, która również posiada dzieci w edukacji domowej i ma ich więcej niż, jedno natrafiłam na Monikę. Wychowywali czwórkę dzieci. Jedno już jest dorosłe i studiuje na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Założenie mojej rozmowy były takie, by pomówić o tym, jak uczyć dzieci na różnych etapach edukacji. Nasza kilkudziesięciminutowa

rozmowa skręciła na inne tory.

Monika opowiadała o tym, jakie kłody pod nogi przez te wszystkie lata edukacji domowej stawiały różnego rodzaju instytucje. Mówiliśmy o tym, że w systemie nie ma miejsca dla dzieci z wyższym niż przeciętne IQ – przykład jej dorosłego już syna. Padły też ogólne refleksje o harmonijnym rozwoju dziecka i dorosłego również. I na koniec, o tym, że kobieta, która zajmuje się głównie edukacją swoich dzieci, prowadzeniem domu, może być szczęśliwa, spełniona i prowadzić intensywne życie towarzyskie. Monika cieszy się, że przy swoich dzieciach uczy się rzeczy, na które nie miała czasu wcześniej – gry na skrzypcach czy kaligrafii. Poruszyliśmy wątek harmonijnego rozwoju. Dla dziecka ważny jest ruch i zabawa. Nie tylko wkuwanie literek i cyferek. O tym szkoła chyba zapomina. Moim ulubionym określeniem jest „ukrzesławianie” dzieci w szkołach. Sprzeciwiała się temu mocno Maria Montessori, ale to już temat na oddzielny wątek.

Zawiera się też w tej „filozofii” kwestia różnorodności dzieci i że każde z nich wymaga innej metody nauki. To jest stwierdzenie Moniki, z którym się zgadzam, a co w szkole nie może mieć miejsca, nawet gdyby nauczyciele bardzo się starali. Dzieci jest zwyczajnie za dużo jak na jedną nauczycielkę. Rodzi to często szereg problemów szczególnie u dzieci z orzeczeniami, które wymagają specjalnych warunków do nauki, a nie jest to respektowane. Spotkałam się często z takimi historiami rodziców.

Szkoła jest dla średniaków

Przykład syna Moniki nie jest jedynym. Dzieci wybitnie inteligentne, albo te radzące sobie dużo gorzej niż reszta klasy, tracą. Wszystko jest „wyrównywane” do poziomu większości. Uczeń ponadprzeciętny będzie się nudził, a ten „mniej zdolny” bardzo stresował, że jest gorszy od innych. Moja córka traciła w szkole z kolei czas. Przedmioty, które

były na lekcjach średnio ją interesowały. Przejawiała wtedy talent plastyczny, muzyczny i gimnastyczny.

Tych rzeczy w szkole było jak na lekarstwo, a po lekcjach nie miała siły, by wreszcie oddać się swoim pasjom i uzdolnieniom. A w końcu, każdy jakiegoś ma. Nie zawsze są one zgodne z tym co naucza system edukacji w Polsce. Ja dobrze wspominam swoje szkoły, ale gdyby moi rodzice wiedzieli o ED i chcieli poświęcić swój czas na nauczanie mnie, z pewnością wyszłoby mi to na plus. Placówka nigdy nie będzie znała mnie i moich potrzeb tak dobrze jak własna rodzina. Wmawia się nam, że to dla dobra nas i naszych dzieci. Szkoły biorąc pod uwagę lata naszej cywilizacji, są stosunkowo nowym konstruktem. Kiedyś dzieci edukowano właśnie domowo. Jeśli rodzice nie chcieli robić tego sami, zatrudniali nauczycieli. Dziś jest podobnie. Aczkolwiek ja jestem zwolennikiem, by swoje dzieci uczyć samemu, nie powierzać innym i nie tworzyć tzw. kooperatyw. Wtedy kilka rodzin uczy swoje dzieci naprzemiennie.

Dla mnie jest to obecnie pewne, że póki przepisy się nie zmienią, moja córka i ewentualne przyszłe dzieci, będą się uczyć domowo. Natomiast zdaję sobie sprawę, jak dla innych może być to niepojęte. Najczęściej mama poświęca swój czas, swoją karierę zawodową na naukę swojego dziecka, dzieci. Po co? Skoro można je oddać do placówki takiej czy innej. Właśnie – oddać. Przekazujemy na pół dnia, czasem dłużej, nasze dzieci w obce ręce. Do ludzi, których przeważnie nie znamy. Wiemy o nich tyle, że skończyli studia. Ale co poza tym? Nie wiemy o nich nic. Jakie mają poglądy, co będą wpajać naszym dzieciom, jak je traktować. Nic. Czy to jest odpowiedzialne ze strony nas – rodziców?

Autorstwo: Anna Kluczyńska

Zdjęcie: [dassel](#) (CC0)

Źródło: MyslPolska.info